

Szczyt wszystkiego – cz. 1

5 września 2009

Niewielu ludzi zdobyło Koronę Ziemi, siedem ramion gór wyrastających z ognia, skały i lodu na chwałę siedmiu kontynentów: Kilimandżaro w Afryce, Elbrus w Europie, Aconcagua w Ameryce Południowej, Denali w Ameryce Północnej, Carstensch Pyramid w Indonezji, Vinson na Antarktydzie.

Królową jest należąca do Azji Czomolungma, na zachód od Uralu zwana Mount Everestem. Ania Lichota ma już za sobą sześć zwycięskich wypraw. Teraz zbiera siły i pieniądze na ostatnią, by zostać szóstym polskim zdobywcą Korony i drugą Polką, której udało się tego dokonać. Jest jedną z nas, dziewczyną z Polski i Londynu.

Unika słowa: pokonałam. Gór się nie pokonuje, nawet się ich nie zdobywa. Wyścig szczurów niech trwa na nizinach. Na czterech, pięciu tysiącach metrów, o wyścigu się nie pamięta, a gdy kolejna wędrówka i przygotowania wciągają coraz bardziej, wtedy zapomina się o nim na stałe. Ania zapomniała, choć jest turbikiem w finansowym młynie londyńskiego City. Wraca z biura, zrzuca żakiet, makijaż i kolczyki i idzie na rower. Potem wcina orzechy, ledwie wykiełkowane rzodkiewki z miejskiego ogródka w pojemniku z wilgocią i wypija kolejny litr wody na deser. Potem uczy się góry. Czyta, myśli i czeka. Wreszcie przychodzi czas wejścia. Dwa, trzy tygodnie obłaskawiania swoich słabości i lęków. Każdym szczytem coraz głębiej wnika w samą siebie. Uczy się zaufania do przypadkowych ludzi, bo rzadko wchodzi na szczyt z osobami, które uczestniczyły w poprzednich wyprawach. Kupuje wejście przez internet i tyle. Lotnisko jest miejscem pierwszego spotkania.

PIERWSZY KROK – KILIMANDŻARO

A wszystko było pierwsze na Kilimandżaro. Testowej górze, czy

warto podjąć wyzwanie Korony Ziemi, codziennie ćwiczyć, oszczędzać czas i pieniądze. To pierwsze wejście potraktowała bardzo poważnie, była świetnie fizycznie przygotowana, dlatego zmęczenie niemal ją ominęło. Taka jest: zawsze perfekcyjna, odważna, przewidująca. Może tylko takim udaje się wejście na szczyt? Traktuje góry z czułością i wielkim szacunkiem, jak bóstwo, któremu ufa się bezgranicznie, bo nigdy nie skrzywdziło i nie robi tego, bo wyznawczyni pełna jest niemal biblijnej pokory.

Na Kilimandżaro widziała śmiertelnie zmęczonych Japończyków, których nieśli miejscowi tylko po to, by na szczycie pstryknął aparat. Widziała ludzi przeklinających górę. Zignorowali ją, potraktowali jak wakacyjną przygodę, którą można popisać się przed kolegami z biura. Góra odpłaciła im więc cierpieniem. Nie udało im się przeżyć niczego poza udręką, bo nie przygotowali się ani fizycznie, ani duchowo. – A dla mnie, wejście na Kilimandżaro było medytacyjnym spacerem, czasem refleksji i skupienia nad sobą. Wdychałam ją w siebie. Energia, którą generuje ziemia i kosmos te cztery i pół tysiąca metrów ponad poziomem morza, jest niesamowita.

Każda góra wymaga szacunku. Ma swoje pułapki, pokonuje nimi tych, którzy chcą ją posiąść, a nie doświadczyć jej energii. Na Kilimandżaro był to Gilman's Point, początek szczytowego płaskowyżu i ostatnich wertykalnych 150 metrów. Cała wędrówka trwa od trzech do sześciu dni, zależy od wyboru ścieżki. Na sam szczyt wychodzi się w nocy, by na Gilman's Point zobaczyć wschód słońca. Ania go jednak nie widziała, zasłoniły chmury. Szła te ostatnie metry wiedząc, że nie zobaczy lodowców Hemingwaya. Dostała coś cenniejszego niż widok utrwalony na kliszy.

Z NIEWOLI EMOCJI

Namiot dzieliła ze starszą Irlandką, nazywała ją Mum. – Bardzo się związałyśmy, opowiedziała mi o swoim, trochę złamanym życiu, a ja jej o moim, nadszarpniętym rozwodem. Dzięki niej

zrozumiałam, że tylko ja jestem odpowiedzialna za swoje emocje i tylko ode mnie zależy, czy jestem szczęśliwa. Przestałam obwiniać się za smutek mamy, która chce bym mieszkała w Polsce. Rozliczyłam się z uczuć, które mnie przygniatały, emocjonalnie wyzwoliłam się ze swojej rodziny i wygoniłam z siebie przywiązanie do poczucia winy. Bardzo dbam o to, by nie wróciło.

Pierwsza wyprawa miała być romantyczną podróżą we dwoje, zakończoną sielanką w Zanzibarze, ale jej chłopak zrezygnował z wyjazdu. – Byłam sama i wściekła. Krążyłam dookoła basenu, aż słońce spaliło mi stopy. Moja złość wyładowała się na mnie samej. Głupia jestem, pomyślałam. Zapomnij, wybacz jemu, sobie i idź dalej. Skazana tylko na siebie, ogromnie dużo się nauczyłam. Zdałam sobie sprawę, że związek nie może być uzależnieniem. Trzeba być blisko, ale dać sobie również wolną przestrzeń, iść w jednym kierunku, ale jako dwa osobne byty. Ludzie mówią: idę zdobyć górę. A ja uważam, że zdobywamy samego siebie. Nie pokonałam góry, lecz swój lęk przed pełnią odpowiedzialności za siebie.

Na Zanzibarze spotkała Tasso, Brazylijczyka, którego poznała na Kilimandżaro. Założyli się o nazwę najwyższej góry Europy. Stawką było wspólne wejście.

NA ELBRUS

Grupa bez przerwy próbowała włożyć ją w swoje ramki. – Czemu nie pijesz wódki? – Bo nigdy nie piję przed wejściem. – Dlaczego nie jesz mięsa? – Bo czerpię energię z powietrza, miłości do wszechświata. Zna rosyjski, więc dużo rozmawiała z przewodniczką, Ukrainką, wiedziała, czego może się spodziewać i wszystko tłumaczyła innym. Bywało tak stromo, że każdy krok był pokonaniem strachu. Na Siodle, słabym punkcie Elbrusa, zaczęła ją boleć głowa. Było mocno ponad pięć tysięcy, dwie godziny do szczytu. – Wszyscy weszli, a ja ciągle w drodze. Zupełnie inaczej niż na Kilimandżaro. Kiedy jednak byłam blisko, zeszli niżej, żeby wejść razem ze mną. To mi pokazało,

że ludzie potrafią oddać to, co się im dało. Oni oddali mi swoje dodatkowe dziesięć metrów. Poczułam też, że nie muszę być najszybsza i najsilniejsza. Po Kilimandżaro, gdzie byłam przekonana o swojej fizycznej sile i świetnym przygotowaniu, na Elbrusie dostałam nauczkę. Schodząc w dół, pomagałam Tasso. Czuł się gorzej ode mnie, tracił równowagę. Myślałam: jestem silna po to, by pomóc innym.

Kiedy wchodziła na Kilimandżaro, Elbrus, potem na Aconcaguę i Denali zawsze zostawiała testament. Ostatni przygotowała na Denali. – Zrozumiałam, że to nie ma żadnego znaczenia. Bo jeśli ufam, nic mi się nie stanie. A jeśli zgubię wiarę, to jakie będzie mieć znaczenie co po sobie zostawię?

WSPÓŁPRACA Z UNICEFEM

Można zbierać na rzecz organizacji i na pokrycie kosztów swojej wyprawy lub tylko dla organizacji, wtedy brytyjski rząd dokłada piętnaście procent uzbieranej kwoty. Ania wybrała drugą opcję. Założyła stronę internetową (www.ania-lichota.info – przyp.red.) i czekała na wpłaty. Na prośbę Unicefu spotkała się też z grupą wolontariuszy, którzy jechali do Machu Picchu i opowiedziała im o swoich doświadczeniach z tej podróży. Stała się nagle źródłem informacji, dzieliła się tym, co wie i przeżyła, by doświadczenia innych ludzi były jak najpełniejsze. I zebrała około trzech tysięcy funtów.

ACONCAGUA

Trzecia wyprawa na Aconcaguę w Ameryce Południowej była testem radzenia sobie z wysokością. Gdyby go nie zdała, nie wybierałaby się teraz na Mount Everest. Nauczona doświadczeniem Elbrusa, oddawała się grupie. Na czterech i pół tysiącach metrów uczyła tanga i polki, co oddała z siebie, dostawała z powrotem. Z pierwszego obozu na 4500 tysiącach metrów, do kolejnego, niosła swój bagaż. Przez całą drogę szedł za nią Dave. – Dasz radę, powtarzał niemal bez przerwy.

Obcy facet, który pomógł mi ogromnie. Po drodze jeden z chłopaków zrezygnował, bolała go głowa. Na takiej wysokości, kiedy zaczynasz się bardzo źle czuć, dalsza droga nie ma sensu, może skończyć się śmiercią z powodu odmy płuc i mózgu.

Na sześciu tysiącach dopadła ich burza piaskowa. Siedzieli w namiotach, zastanawiając się, czy ich nie zwieje. Myśleli, żeby spróbować wejść, jednak przewodnik nakazał im powrót. – Wola góry jest nieubłagana, giną ci, którzy nie chcą się jej poddać. Wierzyliśmy jednak, że pozwoli nam wejść. Został nam jeden dzień.

Najtrudniejszy moment na Aconcagule to 250 metrów niemal pionowej, połamanej skały, przez którą idzie się na szczyt. Pułapka o kobiecej, renesansowej nazwie Canaleta. – Moje skostniałe dłonie, pomocnik przewodnika włożył sobie pod pachy, najcieplejszy zakątek ludzkiego ciała. Potem podarował mi rozgrzewające ręce saszetki. Rozmawiamy. Okazuje się być chłopakiem kucharki, której w pierwszym obozie podarowałam jakiś drobiazg. Idziemy dalej, a ja myślę o Canalecie, nie chcę, by mnie zaskoczyła, będzie ostro w górę. Uśmierca najwięcej ludzi, idą bowiem jej środkiem, wzbudzając lawiny kamieni. Dochodzimy do Wietrznej Ścieżki. Ludzie zatrzymali się pod jakąś skalną półką, zrzucam tam tylko plecak i idę dalej. Po jakimś czasie zaczynam się niecierpliwić. Gdzie jest te cholerne 250 metrów? – pytam przewodnika. A on mi mówi, że przecież Canaleta już za nami. Tak intensywnie myślałam o jej pokonaniu, że nie zauważyłam, kiedy to zrobiłam. Zaczęłam się śmiać, nie wierzyłam mu. Przecież miało być trudno, ciężko, a on mówi: tu jest szczyt, kobieto. Dziesięć metrów i jestem prawie na siedmiu tysiącach! Wyciągam koszulkę Unicefu.

Nie pamięta, kiedy weszła w śpiwór. Obudziła się po czternastu godzinach, tak jak stała: w butach, ubraniu, zaplątana w gogle. W Mendozie ucztowanie. Chłopak, którego nikt nie lubił, wygłasza mowę. Po raz pierwszy w życiu doświadczył bezinteresownej życzliwości. Nie wiedział, że tyle można od ludzi dostać. Był chory, na szczyt został niemal wciągnięty.

Nie udałooby mu się, gdyby nie grupa.

– Z Mendoza lecę do Meksyku, prosto do pracy, bo mamy tam projekt. Kolega miał przywieźć mi rzeczy, tymczasem gubi bagaż. Jest wieczór, sklepy są pozamykane. Piorę spodnie i bluzkę, czyszczę buty, w których włożyłam na Aconcague i tak idę do biura. Wszyscy się śmieją, wypytują o wyprawę, buduje się totalnie wyluzowany nastrój, który trudno stworzyć, kiedy przyjeżdża się z głównej siedziby firmy, bo ludzie na ogół są bardzo spięci i trudno ich stres opanować. To był najlepszy projekt, nad którym pracowałam, może dlatego, że rodził się w cieniu wielkiej góry.

CIĄG DALSZY NASTĄPI

Autor: Elżbieta Sobolewska

Źródło: [eLondyn](#)